ILUSTROWANY
GŁOS NARODU
z dnia 29. Listopada 1902 r.

KILKA SŁÓW
o Wieliczce i jej kopalniach

przez
Feliksa Piestraka, c. k. zarządcę salinarnego,
z ilustracjami **Jana Czerneckiego.**

Prawo autorstwa tak artykułu jakoteż rycin zastrzeżone.

(Ciąg dalszy).

Bitumiczne cząstki roślinne w nich tu i ówdzie wpryśnięte, a nawet w większych kawałkach występujące, powodują niejednokrotnie wywiązywanie się gazów wybuchowych (węglowodorów), skutkiem sąsiedztwa wody i wysokiej temperatury.

Gazy te zna dobrze tutejszy lud górniczy, i w gwarze swej nazywa je „saletrą“. Zależnie od większego lub mniejszego nagromadzenia się tych gazów w powietrzu, można spowodować ich wybuch, używając lamp zwykłych tj. otwartych. Z tego względu należy zachować wszelką ostrożność przy odbudowie soli spiżowych i używać wśród pracy, znanych lamp bezpieczeństwa.

W solach spiżowych powstają również z czasem pustki, jamy i komory podziemne, znacznie atoli mniejsze i niższe od komór w solach zielonych.

Dołączone ryciny komór „Rössler“ i Bachmann“, których stropy podpierają krąglaki wzdłuż i wszerz na sobie ułożone, a które w języku górniczym kasztami nazywamy, przedstawiają takie pustki, tj. jamy podziemne, setki lat niejednokrotnie stojące i świadczące chlubnie o polskiem górnictwie.

Pod solami spiżowemi znajduje się wreszcie trzeci rodzaj soli, tak zwanej soli szybikowej, tj. odkrytej przy pomocy szybików kopalnianych. Sole te, barwy białej, są również uławicone i posiadają zaledwie 1—$1\frac{1}{2}$% zanieczyszczenia ziemnego.

Wymienione trzy rodzaje soli ujęto naukowo w jedną grupę i zaliczono je do grupy pierwszej, drugiej i trzeciej, zależnie od głębokości, w której występują. Z tego widzimy, że pod solami pierwszej grupy, powtarzają się znowu sole zielone spiżowe i szybikowe, pod któremi jest ułożona grupa trzecia, a nawet czwarta, w wschodniej części kopalni.

Wymienione grupy przedzielają od siebie warstwy iłów, zmieszanych tu i owdzie z gipsem, anhydrytem, marglem, lub nawet piaskowcem, to znów grupy poszczególne zlewają się z sobą w jedną całość, przyczem sole zielone ustępują, sole szybikowe przechodzą zwolna w sole spiżowe, tak, że tylko długoletnie i mozolne studjum stosunków geognostycznych, może nam dać dokładny obraz ich powstania i uławicenia.

W tym kierunku pracowało wielu górników i geologów i pozostawiło nam w spuściźnie wyczerpujące prace, jak: Lebzeltern, Fischer, Hrdina, Niedźwiedzki. Tietze, Szajnocha i inni. To też z prac wymienionych autorów, odnosimy znaczną korzyść, i tem chętniej, z młotkiem geologicznym w ręku, sprawdzamy ich zapatrywania lub zdobywamy nowe teorje, na własnych spostrzeżeniach oparte.

Pokłady solne są nachylone ku Karpatom, a więc ku południowi, szerzą się zaś (rozciągają) od wschodu ku zachodowi, zanurzając się na zachodzie coraz głębiej i niknąc powoli. Wschodnie ich partje leżą zatem znacznie płycej od partji zachodnich, i dlatego szyby na zachód wysunięte są głębsze od szybów wschodnich. Wiercenia poszukiwawcze w latach ostatnich w wschodniej stronie wykonane, wskazują jednak, że i na wschodzie dalszym zanurzają się sole w głąb ziemi, że zatem istnieje siodło na wschodzie, stanowiące punkt krytyczny zwrotu, tj. zanurzania się pokładów ku wschodowi.



KOMORA RÖSSLER.

W niedalekiej przyszłości uderzy o te skały kilof górniczy, i potwierdzi nasze teorje i przypuszczenia, albo też zawiedzie nadzieje...

Oprócz wymienionych trzech rodzajów soli wielickich, możnaby jeszcze przytoczyć cały szereg nazw znanych mineralogji, odnoszących się do różnych gatunków soli zielonej, spiżowej i szybikowej, którymi nas przyroda szczodrze obsypała. Do takich gatunków należy np. sól lodowata, trzaskająca, sól zwana szpakiem, albo też solne kwiaty, solne porosty, sople, stalaktyty czerwone i żółtawe, wodne kryształy lub oczka, i wiele innych soli, odznaczających się innemi znamionami zewnętrznemi, innemi fizycznemi własnościami a niejednokrotnie i zmiennymi chemicznymi składnikami. Sole, zemlotami lub jarkami zwane, albo też sole orłowe, i wreszcie kryształy solne czyli sole oczkowe, mają znowu odrębną charakterystykę i łączą się ściśle z solami spiżowemi i szybikowemi. Na szczególniejszą uwagę i wzmiankę zasługują sole kryształowe białe i przeźroczyste, zawierające często w sobie jedną lub dwie krople wody, które poruszają się i skaczą, podobnie jak rtęć, w rurce szklanej zamknięte.

Sole te występują przeważnie we wschodnich partjach kopalni wielickiej i służą do wyrobu przeróżnych „pamiątek z Wieliczki“, wyrabianych przez tutejszych górników, prawdziwych artystów-dyletantów.

W latach ostatnich odkryto w górach wschodnich większe partje „polskich, solnych djamentów“ lśniących przy efektownem oświetleniu, jak najczystsze brylanty. Miejsce to nazwane „grotą kryształową“ przedstawia dołączona rycina, w czasie roboty górniczej i odwożenia uzyskanych kryształów. — Pod ziemią, w tym świecie legend i mieszkaniu brodatych gnomów, strzegących zaklętych i tajemniczych bogactw przyrody, czujemy się prawdziwie małymi i niedołężnymi — a przecież nauką i pracą odkrywamy wszelkie tajniki natury, która nam swe serce chętnie otwiera i obsypuje darami. Tutaj mkną godziny szybko jak strzała, i z ożywieniem i namiętnością czytamy w księgach natury, byle naprzód — byle naprzód...

Sole wielickie służą do celów spożywczych lub fabrycznych. Sole spożywcze wytwarza skarb państwa w dwu postaciach, mianowicie: w kawałach (fragmentach) 40 kilogramowych, lub w stanie mełtym. Wyjątek stanowi pod tym względem sól zielona, którą wytwarza Zarząd salinarny jedynie w stanie mełtym, jako sól spożywczą. — Do celów spożywczych służy zatem 5 gatunków soli, a mianowicie: 1) sól zielona, 2) spiżowa, 3) szybikowa w stanie mełtym i 4) sól spiżowa i 5) szybikowa, wytwarzane w fragmentach. Z wymienionych trzech gatunków soli wyrabiamy także sól fabryczną, a mianowicie: w kawałkach (złamkach solnych) lub w stanie mełtym. Sole zielone lub spiżowe zapomocą strzelania prochem (rozsadzania skał solnych prochem) uzyskiwane, wytwarza Zarząd dla fabryki sody

w Szczakowie, natomiast sole szybikowe, spiżowe i zielone w stanie mełtym, oddaje Skarb państwa przeróżnym instytucjom przemysłowym, jako sole fabryczne Nr. 1 i Nr. 2, bądźto w stanie czystym (naturalnym), bądźto przeistoczonym pewnym procentem sody, stosownie do potrzeby i celu ich użycia. Ostatni wreszcie gatunek soli stanowi sól bydlęca w stanie mełtym sprzedawana i przeistaczana piołunem i tlenkiem żelaza.

Nokturn Szopena.

— Dziwna, szczególna wizyta — pomyślałaś pani zapewne, przeczytawszy moją kartę...

— I zaszczytna! — dodałam, bo w istocie to zaszczyt dla mnie, że pan, należąc dzisiaj do naszych głośnych i sławnych, wróciwszy z zagranicy, raczyłeś sobie przypomnieć o jakiejś tam znajomej z przed kilku lat.

— Ale te odwiedziny stanowią może wykroczenie przeciw regułom towarzyskim, bo męża pani nie znam osobiście...

— Niechaj pan siada, bardzo proszę. Mąż wkrótce przyjedzie z fabryki, poznacie się panowie i wszystko będzie po formie...

Źrenice ich utonęły w sobie na chwilę, lecz zaraz się rozbiegły, jak spłoszone ptaki. Było kilka sekund męczącej ciszy. Z przeciwległej ściany patrzył na nich uparcie portret sędziwej damy o szlachetnych rysach twarzy i ustach dumnych, zaciętych.

— Od sześciu lat nie widziałem pani...

— Ach tak, czas bardzo prędko ucieka i wielkie zmiany przynosi. Trzy lata temu życie w naszym małym dworku zamieniłam na miejskie, czysto miejskie. Wkrótce potem pochowałam mamę. Brat w Heidelbergu: niebawem ma się promować na doktora filozofii. Będzie to drugi jego doktorat. Panowie pisujecie do siebie? Przecie to dawna przyjaźń...

— Zenon pisuje do mnie czasami: ja, przyznam się, pozostaję niekiedy dłużnym odpowiedzi Ale zawsze żywię dla niego dawne uczucia. Tych nie wykreśla się z serca tak łatwo...

— Czy sądzisz pan, że on dopnie swego celu i uzyska z czasem katedrę na naszej lub innej wszechnicy?

— Myślę, że tak. W każdym razie bardzo mi się podoba jego żądza wiedzy i ambicja. Zenon, to duchowo nadzwyczaj zdrowy typ. Zazdroszczę mu tego zdrowia.

— Mojem zdaniem jednak, panu lepsza cząstka przypadła w udziale... O nim, z wyjątkiem kół fachowych, którym znane są jego naukowe prace, nikt nie wie, a pańskie nazwisko...

— Ma pani zamiar uraczyć mnie garstką komplementów?

— Bynajmniej. Chciałam tylko powiedzieć, że pańskie nazwisko cieszy się bardzo szerokim rozgłosem. Bo osobiste moje zdanie o utworach pana nie jest jednym okrzykiem zachwytu, choć są to rzeczy znakomite. One siłą swej treści i stylu przykuwają do siebie — ale gnębią. Niektóre są — proszę przebaczyć wyrażenie — rodzajem zmory, co pierś ugniata i zrzucić jej nie można. Powiedziałabym, że za bardzo głęboko sięgają do istoty rzeczy i odbierają odwagę do życia. Może nie każdy z czytelników doznawał tego wrażenia, ale ja, która się wczytywałam...

— Więc według pani błędem moim jest...

— To nie błąd przecież — za wiele głębokości i smutku. Ale tym smutkiem trujesz pan swych czytelników — być może z kaprysu..

— Co za przypuszczenie!

— Ot, podobają się panu takie tematy... Bo zdaje mi się, że wy, artyści, rozdzieracie nam serca i targacie nerwy na zimno. Talent, głęboka i subtelna intuicja wystarczają najzupełniej, by dany utwór wywołał silne wrażenie: nie koniecznie potrzeba samemu przecierpieć to wszystko, co cierpią dzieci waszego ducha. A kto posiada oprócz szybko zdobytej sławy tak miłą i młodą żonę, jak pan, ten chyba jest szczęśliwym. Nie miałam przyjemności jej widzieć, ale z tego, co dzienniki pisały przed dwoma laty...

Wtem za ścianą zabrzmiały dźwięki fortepianu. Ktoś grał nokturn Szopena. Na jej turkusowe oczy spadły cienie czarnych rzęs i pochyliła swą śliczną głowę, chcąc ukryć słaby rumieniec, co wypłynął na białe, delikatne lica, niby różowy obłoczek. On, wstrząśnięty do głębi, patrzył na nią z sercem bijącem. Nie wiedzieli, jak długo teraz trwała cisza. Z zapartym oddechem chłonęli pierwsze akordy tęsknej pieśni bez słów, z pod której bolesnego czaru nie mogli się uwolnić.

— Ten sam, ten najulubieńszy wówczas przed laty — ten nasz... A jednak pani grałaś go lepiej...

I znów chwila milczenia. Wreszcie podniósł głowę i szukając jej spojrzenia, mówił z tłumionem uniesieniem:

— Dziwne mam wrażenie, patrząc na panią i słuchając tego nokturnu. Zdaje mi się, że tych lat nie przeżyłem wcale, że one były tylko przykrą marą senną. Oto cały świat wspomnień zmartwychwstaje piękny, żywy, uroczy. Czuję nad sobą czarodziejskie tchnienie młodości i szczęścia, które niestety zagasło, jak słaby płomyk kaganka wśród wichru...

— Co to znaczy być poetą z łaski bożej! Utwór muzyczny usposobił pana do improwizacji i odrazu zaczynasz improwizować na jakiś temat fantastyczny...

— Czy to ma być chłodnym antidotem na tę improwizację?

— Broń Boże! Proszę mnie nie uważać za istotę tak mało kulturalną, abym chciała gasić piękno, poezję. To była tylko zapewne niezręczna, lecz szczera uwaga, iż widzę w panu poetę...

— Tylko poetę?

— Tak.

— Więc była to bardzo zręczna uwaga — i bardzo nieszczera...

— O!...

— Bo pani widzisz we mnie teraz tylko człowieka i...

— Ależ... mylisz się pan...

— ...I obawiasz się tej muzyki, co wywołała mary wspomnień, które nadleciały z przeszłości i jęczą nad twoją głową — ale ona zwycięska, nie milknie i wszystkie, wszystkie ciągnie za sobą. I widzisz je pani — czytam to w twych oczach.



KOMORA BACHMANN.

...Oto jesteśmy ci sami, co dawniej, przed ośmiu laty. Bo czyż tak nie jest? Spojrzyj tylko w głąb swej duszy... Wszak to było wczoraj... Bawię na wakacjach u państwa, jako kolega Zenona, zaszczycany życzliwością twej matki. Owego pamiętnego poranku jedziemy we dwoje konno na przechadzkę. Jesteśmy sami wśród lasu, na prostej linji leśnej, mieniącej się od tysiąca ruchomych świateł. Mamy uczucie, jakbyśmy byli w świątyni. Pnie sosen, jak pochodnie płoną czerwono, śpiewy ptaków echa roznoszą daleko... Szczyty starych drzew wśród szumów poważnych pochylają się miarowo, jakby bijąc pokłony słońcu, porankowi, czy tobie... Wtem twój koń, zląkłszy się potwornej kłody, rzuca się w bok. Za chwilę bladą, strwożoną, z twarzyczką zdrapaną i krwawiącą z powodu upadku cucę i uspokajam. Serce omal piersi mi nie rozsadzi z żalu, żeś się wylękła, że uśmiechasz się blado przez łzy, jak przerażone dziecię, ach, i ze szczęścia, że jestem przy tobie, że wolno mi dotknąć twej rączki, wolno wilgotną chustką chłodzić zranioną twarzyczkę i uspokajać cię, i uciszać, i pić życie, wieczność z twego dobrego, wdzięcznego spojrzenia...

— Co za poezja wspomnień na tle Szopenowskiego nokturnu!...

Przez jej usta przeleciało tchnienie ironji, lecz w duszy czarowna pieśń bez słów obudziła całe chóry łzawych tęsknot, i skarg cichych, i żalów nienazwanych. I uniosła ją w krainę przeszłości, co na falach dźwięków spłynęła ku nim uśmiechnięta, pełna uroku, jak fata-morgana na suchym, bezludnym stepie. Więc zamilkła — i rozwartą źrenicą duszy patrzyła w jego duszę.

— Zagrałaś go pani niespodzianie tego samego dnia wieczorem. Pamiętasz? W salonie był zmrok, tylko księżyc jaśniał w oknach, srebrzył liście kwiatów w doniczkach i kładł dyadem świetlany na twe włosy cudowne. Grałaś jak natchniona. Wszyscy byliśmy rozrzewnieni, przejęci i smutni. Ale był to smutek jakiś górny, unoszący serca w sfery gwiaździste...

...A potem te cztery tygodnie, spędzone pod jednym dachem: te przechadzki, te rozmowy przyjacielskie, szczere, poufne, zbliżające tak bardzo, łączące tak ściśle, rozmowy dusz spragnionych siebie i wyciągających dłonie mistyczne do uścisku... Pamiętasz?...

...Później — nie byłem już zapraszany do państwa. Zapewne mama dobrodziejka powtórny mój pobyt w swym dworku uważała za nieodpowiedni... Tak... Ukończyłem filozofję... Ten wydział nie daje u nas karjery, awansów, znacznych dochodów... Rzeczy to dobrze znane...

...Minęły dwa lata, i o pani nic nie wiedziałem. Zenon nie wspominał wcale. Było to aż nadto wymowne... Tylko raz jeszcze przypadek zbliżył nas do siebie. Byłem daleko za miastem na przechadzce. Wieczór zapadał, zorze gasły, snuły mi się w myśli jakieś melodje rzewne i tęskne na temat zórz konających na zachodzie. Wtem z tumanu kurzu na gościńcu wyłoniła się bryczka, a w niej ty — sama jedna.

...Powitałaś mnie pani z taką swobodą, jak wczorajszego gościa. Słyszę doskonale te słowa banalne, salonowe i ten głos czarujący, dźwięczny, ale zimny, obcy i nic nie mówiący. Czy to była gra tak doskonała, czy zupełne zapomnienie? Kazałaś wstrzymać konie, zaprosiłaś mnie do bryczki, i za chwilę jechaliśmy razem. Mroki padały coraz gęstsze. Oznajmiłaś mi, że jedziesz na kolej po jakąś kuzynkę. Rozmawiałaś swobodnie o studjach Zenona, o literaturze, muzyce, o moich pierwszych pracach, gratulowałaś — ale ponadto nic, ani jednego ciepłego słowa. Bolesny spazm łkał mi w piersiach, gdym słuchał tej tak bajecznie swobodnej rozmowy, i wyczuwał w modulacji twego głosu wyrok śmierci na to, co było mi najdroższem... Lecz do ostatniej chwili łudziłem się jeszcze... Ciemno było, gdyśmy wjeżdżali do miasta. Szalona myśl opętała mnie wówczas. Chciałem przygarnąć cię do siebie i choć raz jeden odetchnąć wonią twych włosów upajających... Ale nie mogłem. Zanadto byłaś mi świętą. Potem, przed dworcem kolei, pożegnałaś mnie bardzo uprzejmie, lecz tak, jak się w obcem mieście żegna przechodnia, który wskazał drogę...

. . . .

A dźwięki nokturnu rosły, potężniały i opiewały rozpacz rozszalałą. Zdawało mu się na mgnienie oka, że widzi aleję jakiegoś parku z szeregiem drzew, szarpanych przez okrutny, rozpętany wicher, pod niebem, jak całun czarnem i martwem. Drzewa w obłędzie trwogi rzucają się do ziemi z błaganiem, rozpaczą czy wściekłością srogiego bólu. Wtem dźwięki zdławione nagle zcichły, osłabły i były jak łzy niedoli. Łzy rzewne, samotne, łzy osieroconych. I mówiły o jasnych nocach letnich, wśród szumu drzew rozmarzonych, z sercem przy sercu. Ale o tych, które się przeżyło tylko w marzeniu. O boskiem upojeniu dwóch dusz, pijących wzajem szczęście nieśmiertelne z siebie. Ale o tych, co odrzucone na odległe światy, nie spotkały się nigdy i wzywają się przez otchłanie nieskończoności, przez wieczność żalu i tęsknoty. I fale melodji zaczęły drżeć wielką tęsknotą. Tęsknotą wszystkich dusz samotnych, wszystkich nieszczęsnych wygnańców z krain promiennych. I tęsknota pochłonęła powódź smutnych akordów, które już tylko jej pieśń śpiewały. Tej, co czuwa wiecznie z oczyma pełnemi łez — nieukojona.

— Nie budźmy przeszłości... Niechaj śpi dalej twardym, kamiennym snem, w którym się nic nie śni... Jednak — zły z pana psycholog...

— Nie, pani. Mimo wszystko miałem ciche, lecz uparte poczucie, że było między nami coś silniejszego nad prawa i formy, które nas rozdzieliły. Ale dość o tem. W każdym razie nie zostawiłaś mnie znów tak wielkim nędzarzem: posiadałem sztukę, która wówczas była mi bóstwem dobroczynnem, uspokajała, koiła, dawała nawet chwile słodkich upojeń...

— Miewasz je pan i dzisiaj...

— O, dawno minęły. I rzecz dziwna: osiągnąwszy to, czego pragnąłem, mam wrażenie, że odszedłem od mego życia w jakieś mroki posępne, cienie nieprzebyte, gdzie zimno, pusto i stra-

szno. Błąkam się, szukając drogi i niosąc w duszy upartą pewność, że jej nie znajdę... Dawniej, myśl o odrobinie powodzenia odurzała mnie, dzisiaj ten świat wymarzony i upragniony zmierzchł, niby jasna łąka, pełna kwiecia, gdy słońce nagle zajdzie za chmurę. Prawda, jak wtedy smutno?... Pani może także inaczej przedstawiałaś sobie oczekujące cię życie...

— Posiadasz pan jednak bądź co bądź swój ulubiony zawód...

— Nie chciałaś pani słyszeć moich ostatnich słów.... Przepraszam! Ach, ulubiony zawód!.... W chwili, gdy mnie uznano i do nazwiska przyklejono etykietę z napisem „talent“ — czar prysnął... Pozostała tylko praca, bez której wprawdzie żyćbym nie mógł, lecz która jest moją męką i niewolą, a nie pełnem zadowoleniem, jak było dawniej, w początkach. To dziwne, chorobliwe — a jednak tak jest. Przekonałem się że podstawa życiowa, jaką daje ulubiony zawód, nie jest całą podstawą i łatwo w przepaść stoczyć się można... Goniłem moją Dafne, a zdobyłem jakąś gałązkę zieloną, którą zwarzy lada ostrzejszy podmuch — i wtedy nic mi nie zostanie...

— Nie mogę wyjść z zadziwienia... Nie!... Zapominasz pan żeś żonaty..

— Ani na chwilę nie zapominam. Niewytłómaczona, chora ciekawość pcha czasem człowieka do wielkich hazardów... A hazardy są niebezpieczne... Po takiej grze albo strzela się sobie w łeb, albo... żyje się dalej... Ot, niewinny eksperyment na własnej duszy... To ogromnie interesujące!...

— Nie mów pan tak, błagam, nie mów...

— Zachwycającym ruchem podniosłaś pani dłonie do skroni... Nabawiłem migreny zapewne... Istotnie, za dużo mówiłem...

— Po co to szyderstwo?... Ale czyś pan zauważył? Ucichło... Moja sąsiadka rozdarła nielitościwie nokturn w ślicznem miejscu...

— Pani, grając, zapewne nie dopuszczasz się takich barbarzyństw...

— Nie grywam teraz zupełnie.

— Jakto? przy takich zdolnościach? A, to prawdziwa szkoda... Sztuki nie godzi się odtrącać...

— Ja też jej nie odtrącam, tylko — nie mogę. Nie jestem w stanie pomyśleć, jakbym dzisiaj, zasiadłszy do fortepianu, wzięła pierwsze akordy — choćby tego nokturnu...

— Tak... rozumiem... Po nokturnach Szopena scherzo, to rzecz zbyt przykra... Nieustanne scherzo życiowe... rozumiem... Żegnam panią...

— Ależ mój mąż co tylko nie nadjedzie. Rad będzie widzieć takiego gościa...

— Daruje pani, ale w obecnej chwili, po wysłuchaniu tego nokturnu...

— Nie chciałbyś pan już słuchać przykrego scherza... Czy tak?...

Edmund Zechenter.

Z ruchu artystycznego w Berlinie.

Ostatnimi czasy zaczął nabierać znaczenia i stawać się coraz głośniejszym mały teatrzyk na ulicy Pod lipami tak zwany „Schall und Rauch“, w którym niedawno grywano satyryczne jednoaktówki: „Serenissimus Zwischenspiele“, widowiska burleskowe, przypominające nastrojem karykatury „Simplicissimus'a“. Ostrze ich zwrócone było zwykle przeciw militaryzmowi i biurokracji zwłaszcza przeciw książętom niemieckim, jako przedstawicielom obskurantyzmu i zacofania.

Obecnie teatrzyk ten zmienił charakter i stał się ogniskiem poważniejszego literackiego ruchu, nową świątynią teatralnego „modernizmu“. Grano tam świeżo ciekawą sztukę Strindberga „Szał“ (Rausch) przypominającą trochę utwory Przybyszewskiego. Silnie napisaną jest zwłaszcza pierwsza jej połowa, malująca fatalne wezbranie szału erotycznego, który ujawnia szlachetniejsze instynkta natury ludzkiej. Akcja sztuki osnutą jest na tle życia artystycznego w Paryżu. Maurycy pisarz dramatyczny staje chwilowo na progu „sławy i bogactw“. Sztuka jego odniosła ogromne powodzenie sceniczne, ale na nieszczęście ulega pokusie kobiety-Demona w postaci Henrietty; jednej z tych błędnych komet, które krążą na horyzoncie artystycznym Paryża. Oboje ulegają szałowi — który wywołuje cały szereg czynów lekkomyślnych albo brzydkich. Oboje zdradzają najlepszych przyjaciół, plączą się w fatalne zawikłania — chwilę ułudnych rozkoszy okupują męczarnią duszy i wyrzutami sumienia. Szał przechodzi — on wraca do życia normalnego po strasznych przejściach — ona zaś usuwa się z zamętu wielkiego miasta do ciszy rodzinnej. Od połowy sztuka się łamie i spada — ale pierwsze dwa akty (czyli cztery obrazy) kreślone są z przenikającą prawdą i z trafnością ekspresji psychologicznej.

W ostatniej scenie sztuki ukazuje się nieznana dotąd dramaturga skandynawskiego idea ekspiacji chrześcijańskiej. Jak zwykle zresztą u skandynawów, niektóre motywa dziwaczne psują wrażenia utworu tryskającego potężnym talentem. Do podniesienia często pierwszej połowy sztuki przyczyniała się dzielnie gra Emanuela Reicher'a, który jest główną siłą aktorską tego małego teatru. P. Reicher długoletni członek teatru „Deutsches Theather“ z pochodzenia krakowianin jest obecnie w Berlinie najlepszym aktorem w rolach charakterystyczno-poważnych. Silne wrażenie w roli Henrietty wywarła Gertruda Eysoltto aktorka mająca niepomyślne warunki zewnętrzne, ale przytem świetny, porywający nawet talent, w odtwarzaniu skomplikowanych natur nerwowych obecnej epoki. Nigdy nie widziałem na scenie upojenia erotycznego, oddanego z taką prawdą i tak szalonem nerwowem napięciem.

Wypadkiem dnia w teatralnym ruchu jest grana w tym teatrze świeżo trzech aktowa tragiczna komedja „Ackermann“, której autor kryje się pod obsłonkami anonimu.

W literackim Światku berlińskim krążą rozmaite przypuszczenia co do osobistości twórcy. Podobno jest spółka literacka, która w krotce ma odsłonić przyłbicę. „Ackerman“ jest utworem napisanym dobrze opartym na realnej obserwacji. Właściwie mamy tu monografie dramatyczne jednej figury starego dorobkiewicza skąpca, który się uczepił z uporem myśli, aby przekazać swój majątek potomkowi.

Dwa pierwsze akty są szeregiem scen realistycznych niebudzących wielkiego zajęcia. Niektóre nawet szczegóły z życia głośnego bohatera jak np. scena jego rannej toalety, wstawania z łóżka i mycie się robią poprostu wrażenie nieprzyjemne. Ale akt trzeci podnosi powodzenie sztuki i świadczy o niepospolitym talencie jej twórców. Ackermann jest żonaty, i kocha „swego małego“ z zapamiętałością maniaka. Nagle usłużni krewni odsłaniają mu bolesną tajemnicę. Ukochany malec, w którym skupił nadzieje swoje ten stary dusigrosz — nie jest jego synem. Rażony tą wieścią jak piorunem Ackermann, wpada w straszną boleść, traci zmysły i pali w kominku papiery wartościowe, będące znaczną częścią jego majątku. Zasługą autorów jest to, że dobrze przygotowali końcową katastrofę sztuki. Taki monoman, taki chciwiec przywiązany do jednej myśli — musiał oszaleć pod naciskiem strasznej wiadomości rozsadzającej jego ograniczoną świadomość.

Autorowie dali dobre tło, na którem Reicher stworzył w roli Ackermana jedno z największych arcydzieł sztuki aktorskiej. Była to postać wystudjowana do najdrobniejszych szczegółów, po flamandzku — a ten znakomity realizm rodzajowy nieprzeszkodził potężnemu, tragicznemu wrażeniu sceny końcowej, gdy Ackermann szalał bolem zranionego zwierzęcia wijąc się w bezmiernej boleści, która sprowadziła obłęd. Wrażenie było ogromnie niezapomniane. Reicher tą rolą zapisał się do grona wielkich artystów.

Spectator.

JAN ŚWIERK.

Z wycieczki na Śląsk.

(Ciąg dalszy).

Z zadumy obudził mnie jakiś głos monotonnie powtarzający wyrazy... Spojrzę, aż tu chłopię małe usiadło na piasku i czyta głośno.

— Cóż tu masz?...

— Milcząc podaje mi niemiecką biblję, z której jak poznałem uczy się lekcji na pamięć.

— A ty Polak?

— Ja!

— A umiesz po polsku?

— Ja!...

— Czemże twój ojciec?...

— Berginwalide...

— Długo chodzisz do szkoły?

— Drei Jahre...

Tak na wszystkie pytania chłopię mi odpowiada po niemiecku... tak słup kamienny ugniata piersi ludu i śmierć niesie... a jednak wierzym w życie i do nowego życia dążyć chcemy...

Wracamy ku Mysłowicom.

Jest już po piątej popołudniu i mnóstwo górników z kagankami w ręku spotykamy. Jedni wychodzą na nocną szychtę, drudzy wracają z szychty dziennej. Każdy odziany ciemno, osmolony i dość zbiedzony.

Korzystając ze sposobności rozpoczynamy gawędę.

— A skąd? A gdzie mieszkacie?... i t. d.

Przystanęliśmy w alei, wokoło ugrupowała się nas gromadka.

— Nie braknież wam nigdy roboty?...

— U nas roboty dość, kto chce robić, to ma zawsze...

— Nie przepadło jeszcze. Raz przegrana rzecz może się jeszcze wrócić...

Poczynam mówić o biedzie galicyjskiej, ziemi coraz mniej, roboty brak...

— Muszą z Galicji wyjeżdżać za robotami, a i tak ciężko im idzie. Niejeden wybierze się daleko, a wracać musi. Niejeden zostawi żonę i dzieci, to jak sierota błąka się po świecie...

Słuchają chętnie, wreszcie jeden z nich, wpatrzywszy się we mnie, rzecze z prostodusznym uśmiechem:

— Pan by tu dostali robotę, o! zaraz!... w naszym szybie wzięliby pana...

Bracie ty mój poczciwy, myślę sobie... wiem ja, iż znalazłbym wśród was roboty wiele i radbym z wami przepędzić część mego życia, bo na długoby starczyło tej siejby z którąbym szedł pomiędzy was, bobym niósł wam ubogi kagańczyk oświaty wypisany na kartkach elementarza polskiego, ale daremno... Mogę po odrobinie myśli wam rzucać na kartkach gazety ale i to nie łatwo idzie... oj! nie łatwo!...

Idąc, rozmawiamy dalej...

Pytam o wieś przeciwległą. Objaśniają mnie, że to widać Niwkę, a dalej Dąbrowę górniczą... że tu przychodzą na targi, że tam chodzą kupować wiele wiktuałów, bo tańsze.

Aż jeden ze starszych górników powiada:

— Tam Polska — wiedzą?...

— Wiem, a i tu przecież Polska tak samo...

Spojrzał na mnie z wielkiem zdziwieniem — po chwili zaś mówi:

— Powiadają niby, że i tu była Polska. ale cóż — przegrali to i przepadło.

— Cóż robić, w wojnie przegrali to i koniec, przepadło już, dodaje biedny górnik i idzie spiesznie, bo mu czas do roboty...

W Mysłowicach na dworcu, w mieście, po sklepach i sklepikach pełno rozmaitych rzeczy z widokami na ów nieszczęsny trójkąt schodzącej się granicy trzech mocarstw i z napisami: „Dreiecke der Dreikaiserthümer“ — „Dreikaiserecke“ i t. d. Są szklanki z tymi napisami, kubki porcelanowe, kieliszki, talerze, talerzyki i t. p. rzeczy, a na niektórych przedmiotach nawet są umieszczone trzy wizerunki trzech władców. Kart korespondencyjnych z tym trójkątem niezliczona liczba — kolorowane, z portretami królów, ze znakami herbów państw, z chorągwiami trzech mocarstw, aż w oczach się miga od tego widoku i napisów ciągle tych samych: „Dreiecke“.

Łatwo zrozumieć, iż uczyniono to z rozmysłem i agitacja w tym kierunku chytrze jest prowadzona. Niech lud na pograniczu tem mieszkający ciągle i bezustannie to widzi i czyta, iż są trzej władcy, trzej monarchowie, trzej właściciele tej ziemi, aby też nie pomyślał ów lud nigdy, iż był dawniej tu tylko jeden król, a trójkąta nie było.



GROTA KRYSZTAŁOWA.

W Mysłowicach na dworcu zauważyliśmy kilka kobiet śląskich. Siedziały przytulone do siebie, na kamiennej posadzce, gdy ławka obok wolna.

— Gdzież jedziecie matusiu? — pytamy, poczynając rozmowę...

Odpowiadają czystą polszczyzną, w której znać już przecie narzecze odrębne, a jedna z kobiet pyta:

— A ślachta gdzie jedzie?...

Obejrzałem się za siebie szukając tej ślachty, bo sądziłem, iż widzi za mną kogoś jeszcze, lecz gdy nie było nikogo, pytam:

— Jaka ślachta?

— A oni!...

— A my przyjechali na parę dni w te strony, aby się tu przypatrzeć i poznać jak u was.

— Niema nic! — Machnęła ręką — co innego w Krakowie, tam jest co widzieć, u nas nic.

Gdym odchodząc od tej gromadki, życzył szczęśliwej drogi, odpowiedziano mi chórem:

— Szczęśliwa „rajza"! szczęśliwa „rajza"!...

Z Mysłowic do Katowic droga krótka... a z okien wagonu już się widzi ciągle kominy, fabryki, kopalnie, dymy, węgle i wiertnicze znaki, a napisy wszędzie niemieckie.

Z dworca w Katowicach idziemy szybko, bo radzibyśmy być w redakcji „Górnoślązaka", aby pogawędzić z ludźmi znającymi stosunki tamtejsze.

Adres redakcji znamy, jednakże trzeba spytać kogo o ulicę „Poprzeczną". Ponieważ zaś w ogłoszeniach „Górnoślązaka" wpadało nam często w oczy nazwisko „Czaplicki", spostrzegłszy ten szyld, wchodzimy do sklepu, pytając:

— Gdzie jest ulica Poprzeczna?

— Was?

— Gdzie jest redakcja „Górnoślązaka"?...

Ale dama sklepowa tłómaczy nam, iż po polsku nie rozumie, a o redakcji polskiego pisma nic nie wie.

Następnie pytamy się nie jeden raz, lecz darmo, po polsku nie rozumie nikt, a gdy po niemiecku stawiamy pytania o redakcję „Górnoślązaka", każdy odpowiada: ich weiss nicht. Wreszcie jakiś jegomość opasły należycie wskazuje w którym kierunku iść trzeba, aby dojść do ulicy Poprzecznej.

Ja i mój towarzysz idziemy spiesznie... Mijamy ulicę jedną i drugą, zwracamy na lewo, wreszcie przychodzimy na obszerny plac, gdzie wśród wspaniałego klombu kwiecia i otoczenia krzewów stoi duży pomnik Fryderyka i Wilhelma...

— Nic innego — szepcę do towarzysza — tylko Prusacy z gniewu o to, iż po polsku do nich mówiliśmy i pytaliśmy o polską redakcję, wskazali nam tu drogę, abyśmy zrozumieli co to znaczy być w stronie, w której podobne pomniki stoją...

Więc dalej rozpoczynają się szukania za biedną polską redakcją.

Mijamy dużą szkołę żeńską, z której wysypała się właśnie chmara panien, mimo tego, iż jest to pierwsza połowa sierpnia. Nauka tutaj rozpoczyna się pierwszego sierpnia, ale za to wakacje są cztery razy do roku.

Dziewczęta idące z gwarem i hałasem, jakże w niczem nie są podobne do naszych dziewczynek polskich. Prawdziwe tu typy germańskie. Usta wązkie, zaciśnięte, nosy długie, śpiczaste, włosy żółto-blade, ramiona chude i nisko opadające, a nogi płaskie i duże.

— Jak rysunki z Nibelungów, mówi do mnie z cicha towarzysz wycieczki, który też po chwili wskazując na kilku opasłych Prusaków, stojących przed restauracją, dodaje:

— A to prawdziwe typy Bismarkowskie...

Istotnie!... Prawie każda twarz ma w sobie coś z Bismarkowskiej brzydoty i tego wyrazu więcej zwierzęcego niż ludzkiego.

Jak uosobieniem moskiewskiej tyranji był Murawiew, którego podobizna zawsze robi straszne wrażenie, tak uosobieniem pruskiego ducha bywa twarz Bismarka ohydnie szpetna i nikczemnie zwierzęca.

Znajdując się po raz pierwszy wśród pruskiego świata, ze zdziwieniem odkrywamy to, iż twarzy zbliżonych podobieństwem do twarzy Bismarka jest wiele. Dość spotkać tylko grubego i starego Prusaka, aby poznać o ile on zbliża się duchem do żelaznego kanclerza idei...

A może to tylko imaginacja nasza, może to tylko nasze oczy umieją szukać podobnych i z nosa i z ust, tam, gdzie jest zupełnie tasama dusza pełna nienawiści i chciwa zagłady polskości, jaka była u owego „wielkiego męża", który Prusy „podniósł wysoko", a walkę z Polakami na śmierć i życie, przekazał następcom.

Tak rozmyślając, szukamy dalej za „Górnoślązakiem", który w tem mieście niemieckiem i wśród tej fali germańskiej zdaje się utonął jak kropla w oceanie.

Wybierając się w te strony, wyobrażaliśmy sobie, iż bez najmniejszego trudu do redakcji trafimy, tymczasem błąkamy się już przeszło godzinę, a czem więcej pytamy się, tem więcej przekonywujemy się, iż z umysłu nam drogi nie wskażą.

— Trzeba spytać kogoś z naszych, radzimy obaj — a ujrzawszy dwie Ślązaczki rozmawiające przed sklepem, pytamy:

— Wiecie też matusiu, gdzie ulica Poprzeczna, gdzie to jest polska gazeta?

— Nie znamy!... Czytają tam u nas jakieś gazety, ale nie wiemy czy ztąd...

— Oni będą wiedzieli, mówi druga Ślązaczka, wskazawszy na jakiegoś robotnika, który właśnie nadchodzi.

Istotnie! Ten wie gdzie jest drukarnia „Górnoślązaka", prowadzi nas i dopiero teraz przekonywujemy się, iż redakcję jak i drukarnię mieliśmy bardzo blizko od dworca, a Prusacy nam kazali iść jak najdalej...

Ponieważ to już była pora obiadowa drukarnię zamknięto. Ale jeden z pracowników „Górnoślązaka" przyszedł nam z pomocą i odprowadził do redakcji. (C. d. n.)

JERZY COURTELINE.

Uczciwy znalazca.

Z wyżyn tramwaju, dążącego z Étoile, dostrzegłem mego przyjaciela Breloc, który przechodził właśnie przez plac Blanche. Miał wyraz twarzy tak pomieszany i wzburzony, ze zeszedłem pospiesznie z imperialu tramwajowego umyślnie, aby go zapytać, co się z nim stało:

— Ach! Wielki Boże, cóż ci jest, Breloc? Oblicze twoje wygląda stokroć smutniej od sklepu, zamkniętego z powodu zgonu właściciela!

— Otrzymałem odpowiedź:

— Nie mówmy o tem; o mało co, że nie dostałem się do kozy.

Usłyszawszy to, przypuszczałem, że popełnił coś nieuczciwego i począłem ubolewać w duchu nad nim, lecz on miarkując to widocznie, zawołał:

— Nie zgadujesz widzę!... O mało co nie dostałem się do kozy z powodu głupiego zegarka, który znalazłem tej nocy na bulwarze St. Michel i który odniosłem uczciwie dzisiaj rano do komisarza policji mego obwodu. A co? Trudne do uwierzenia?! A jednak niema nic prawdziwszego nad tę przygodę. Dotąd jeszcze jestem chory z ogłupienia i przestrachu. Zresztą, możesz sam osądzić. Masz pięć minut wolnego czasu?

— Ma się rozumieć!

— Posłuchaj zatem i staraj się skorzystać z mej opowieści. Zabrawszy tedy ów zegarek — ładny, kryty zegarek złoty, męski, z platynowym monogramem — punktualnie o godzinie dziewiątej rano stawiłem się do komisarjatu przy ulicy Duperré i zażądałem, aby mnie zaprowadzono do komisarza policji. Dostojnik ten, kończył właśnie picie czekolady, lecz rozkazał, aby mnie wprowadzono i nie prosząc mnie siedzieć, zapytał:

— Czego sobie pan życzysz?

Przybrałem minę okolicznościową, na twarzy mej igrał uśmieszek dyskretny, właściwy takiemu jegomościowi, który spełnia czyn szlachetny i spodziewa się wawrzynów.

Odpowiedziałem komisarzowi:

— Panie komisarzu, mam zaszczyt złożyć do rąk pańskich zegarek, który znalazłem tej nocy i który...

Nie dokończyłem jeszcze, gdy komisarz, wyprostowawszy się zawołał:

— Aha! Zegarek! Zegarek!

— Następnie krzyknął do agentów policyjnych, którzy grali w sąsiednim pokoju w pikietę:

— Hej! Zamknijcieno tam drzwi od ulicy. Siedzi się tutaj, słowo daję, jak we młynie! Powstał z miejsca i mrucząc pod nosem czekał, aby spełniono jego rozkaz. Kiedy polecenie jego zostało wykonanem, uspokoił się, rozsiadł się w fotelu i rzekł do mnie:

— Zechciej pan wręczyć mi ów przedmiot.

Spełniłem jego żądanie. Wziął zegarek do ręki i przez jaką minutę oglądał go, obracał na wszystkie strony, wąchał, próbował nakręcać, otwierać kopertę.

— Wistocie, — rzekł wreszcie z miną poważną, — jest to zegarek. Nie można temu przeczyć.

Następnie wyciągnął rękę, schował zegarek do wnętrza sporej szkatułki ogniotrwałej i zamknął ją na trzy spusty. Patrzałem na wszystko zdziwiony. Komisarz zapytał mię:

— Proszę mi powiedzieć, gdzie pan znalazłeś ten zegarek?

— Na bulwarze St. Michel — odrzekłem — na rogu ulicy Monsieur-le-Prince.

— Na ziemi? Na chodniku?

Stwierdziłem, że tak było w istocie.

— To rzecz szczególna — zauważył wówczas ten jeszcze szczególniejszy komisarz, obrzucając mię podejrzliwem spojrzeniem. — Chodnik, to nie miejsce do umieszczania zegarka.

— I ja sądzę... — zauważyłem z uśmiechem.

Komisarz przerwał mi tonem oschłym:

— Proszę milczeć! niepotrzebne mi są żadne komentarze.

Zamilkłem i przestałem się uśmiechać.

Komisarz pytał mię dalej:

— Naprzód, co pan jesteś za jeden?

Wymieniłem moje nazwisko.

— Gdzie pan mieszkasz?

Odpowiedziałem, iż mieszkam przy placu Blanche nr. 26.

— Jakie są pańskie środki do życia?

Oświadczyłem, że posiadam 12 tysięcy rocznej renty.

— Która mniej więcej mogła być godzina, kiedyś pan znalazł ten zegarek?

— Była godzina trzecia nad ranem.

— Czy aby nie było później? — zawołał komisarz, który stał się nagle ironicznym.

— Bóg mi świadkiem, że nie — odrzekłem naiwnie.

— A cóż to pan robiłeś o trzeciej rano, na rogu bulwaru Saint-Michel i ulicy Monsieur-le-Prince, pan, który „utrzymujesz", iż mieszkasz przy placu Blanche?

— Jakto, „utrzymuję"?

— Wszak pan tak powiedziałeś.

— Jeśli powiedziałem, to tak być musi.

— Trzeba to będzie stwierdzić. Tymczasem zaś, zrób mi pan tę łaskę i nieprzekręcaj pytań oraz odpowiadaj, gdy go pytam. Zapytuję zatem, co pan robiłeś o tak spóźnionej porze nocnej, w dzielnicy, w której pan nie zamieszkujesz?

— Ależ, do licha! powracałem z domu znajomych, u których spędziłem wieczór.

— Doprawdy?

— Rzecz naturalna!

— A więc, przyjmij pan moje pywinszowania, — szydził komisarz — ładne życie pan prowadzisz. Po chwili milczenia rzucił mi pytanie:

— Nie byłeś pan nigdy karany, panie Breloc?

Tu już przebrała się miarka, więc zawołałem:

— Czy nie byłem karany!?... Ach, cóż to!? czy mnie pan bierzesz za rzezimieszka? Zaczynasz mnie pan nudzić swojem badaniem.

Po wypowiedzeniu tych słów, sądziłem, że wybiła już ostatnia moja godzina. Jednym skokiem, komisarz zerwał się na równe nogi i stanął przedemną, spocony, zapieniony i zaczerwieniony. Z pod krzaczastych brwi, widziałem iskrzący, dziki wzrok jego utkwiony we mnie.

— Co pan powiedziałeś? — woła — Co takiego?

Usiłowałem przyjść do słowa, lecz nie pozwolił mi przemówić i ryknął:

— A ja panu powiadam, że poszlę pana do aresztu i że to wkrótce nastąpi! Właśnie teraz jest najodpowiedniejsza pora, gdyż wysyłam i innych ptaszków. Skądże się wziął taki pajac? Ach! Pan chcesz stawiać mi opór! Chciałeś zakpić sobie ze mnie jakoteż z prawa, którego jestem przedstawicielem. No, toś się źle wybrał, mój łaskawco!

Następnie kładąc nacisk na każde słowo głośnem uderzaniem pięścią po papierach leżących na stole, mówił:

— Ależ, do pioruna, czy ja pana znam!? Czy ja wiem, coś pan za jeden? Mówisz pan, iż nazywasz się Breloc, ale ja tego nie wiem! Mówisz dalej, że mieszkasz przy placu Blanche, jakiż tego dowód? Powiadasz pan wreszcie, że masz 12 tysięcy rocznej renty, cóż mnie obowiązuje do uwierzenia panu? Pokażno pan te swoje dwanaście tysięcy renty; no, ja sądzę, że okazanie tej sumki sprawiłoby panu cokolwiek ambarasu?

Byłem ogłuszony.

— Wszystko to nie jest jasne, — zawołał z gwałtownością; powiadam, słyszysz pan, że to wszystko nie przedstawia się bynajmniej jasno i że nie mam żadnej pewności, czy pan nie ukradłeś tego zegarka!

— Ja? Ukradłem!

— Tak jest! A przytem, powiem panu szczerze, nie na tem koniec; muszę się przekonać dokładnie....

Na hałas, podniesiony przez komisarza, weszli do pokoju ajenci policyjni. Komisarz krzyknął do nich:

— Zrewidować tego człowieka!

„Tym człowiekiem" byłem ja. W jednej chwili rozebrano mię do naga, nawet koszula moja leżała u moich stóp.

— Ach! pan chcesz się stawiać okoniem, — powtarzał szydersko komisarz — chcesz się stawiać!... Podnieście mu ręce, zajrzyjcie pod pachy!

Pod wpływem wspomnień o przebytych upokorzeniach, głos Breloc'a drżał ze wzruszenia. Lecz widząc, że ja śmieję się do łez, że kiwam głową z ukontentowaniem, gdyż poznawałem dokładnie dwóch starych i zajadłych wrogów ludzi o dobrych chęciach: administrację i prawo, Breloc podniósł ściśniętą pięść w górę i ryknął grożąc przyszłości:

— No, niechno ja znajdę jeszcze kiedykolwiek zegarek!...

Tłóm. z franc. G. W.*

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Druk W. Korneckiego w Krakowie.